GŁOS NARODU

Ostatnia podróż S. Hedina.

1899 — 1902.

(Ciąg dalszy)

Brak miejsca nie pozwala nam iść krok w krok za S. Hedinem i wyliczać szczegółowo wszystkie etapy tej obfitej w plony naukowe podróży. Zaznaczymy tylko ważniejsze punkty, zatrzymując się dłużej u wrót świętego miasty tybetańskiego — Lhassy.

Założywszy główną kwaterę w Mandarliku, przedsięwziął stąd Swen Hedin 20-go lipca nową uciążliwą podróż, której urozmaiceniem były burze, spotkania z wilkami i polowanie na dzikie osły. W końcu lipca podróżni zwrócili się ku południowi i przebyll szczęśliwie cztery równoległe łańcuchy gór Arka-tagh.

21 sierpnia po przybyciu dwu nowych łańcuchów górskich z rozległemi lodowcami, podróżni rozłożyli się obozem na północnym brzegu wielkiego jeziora słonego. Hedin wraz z jednym ze swych ludzi postanowił przeprawić się łódką na południowy brzeg, podczas gdy reszta orszaku miała obejść jezioro od zachodu i spotkać się z nim w umówionym punkcie.

Po przeprawie przez jezioro rozpoczęła się znów podróż lądowa. Pewnego dnia, obozując w górzystej miejscowości, podróżni ujrzeli o kilkaset stóp ponad obozem starego *yaka* (*bos grunnies*) wyszukującego mchu i trawy pod kamieniami.

Jeden z krajowców, Aldat, jak kot podpełzał do zwierza i po krótkiej walce powalił go na ziemię. Był to jednakże ostatni czyn myśliwski odważnego krajowca, który od tego czasu zaczął chorować i niesiony na grzbiecie wielbłąda. po upływie kilku dni zmarł. Pogrzebano go w pustyni, na mogile zatknięto żerdź z zawieszonym na niej ogonem yaka, oraz kawałkiem sukna, na którym wypisano cyframi rzymskiemi i arabskiemi datę zgonu myśliwca.

We wrześniu Hedin raz jeszcze przeszedł górę Ark-atagh i założył obóz na zachodnim brzegu jeziora Aczik-koll. W tej okolicy natrafił na pokłady złota, opuszczone widocznie na jesień i zimę, znalazł rzeźby starożytnego pochodzenia, przedstawiające polowanie na tygrysa, yaka i antylopę, oraz pomnik kamienny, wzniesiony przez pielgrzymów mongolskich. W połowie października podążył Hedin do Temirliku na wypoczynek.

12 grudnia r. 1900 niestrudzony podróżnik zwiedził jezioro Gas-nur i w pierwszym dniu nowego wieku przybył Anambaruin-gol, skąd wyruszył 27 stycznia przez Gibi do studni Tograk-kuduk, położonej na pustynnej drodze pomiędzy Abdalem i Sa-czau.

W lutym zaczęły panować burze śniegowe; zimno było tak straszne, że podróżni musieli iść piechotą, ażeby się ochronić od zmarznięcia na śmierć. Posiłek ich stanowiła herbata, którą otrzymali kosztem własnych namiotów, zużyli bowiem do rozpalania ognia cały materyał drzewny swych przenośnych, domów. 19 lutego zabrakło i tego rodzaju opału; podróżni żywiji się suchym chlebem, a zamiast herbaty ssali lód. Nareczcie 2 marca przybył S. Hedin do Altimisz-bulak, skąd wybrał się na zwiedzanie starożytnych ruin, które był zauważył poprzednio w tej okolicy. Były to szczątki małej osady, złożonej z 19 domów. Po starannem odkopaniu znaleziono tam wiele srebrnych monet chińskich, różne drobne przedmioty, garnki, rzeźby, wreszcie mały ołtarz buddyjski, z pięknemi ozdobami i wyobrażeniem Buddy siedzącego na tronie.

W pobliżu znajdowała się starożytna wieża, zbudowana z wysuszonej na słońcu cegły, opodal trzy podobne wieże, oraz szczątki domow. W jednym z tych domów, podobnym

raczej do stajni, niż do mieszkania ludzkiego, znaleziono papiery, zapisane pismem chińskiem. Było to doniosłe odkrycie, dokumenty te bowiem rzucają światło na historyę tej miejscowości.

Po przybyciu do Europy posłał S. Hedin znalezione w ruinach papiery do odcyfrowania uczonemu sinologowi Himly'emu w Wiesbadenie. Pokazało się, że dokumenty te pochodzą z czasu pomiędzy środkiem III w., a początkiem IV po Chrystusie. Są one nieocenionej wartości, wyjaśniają bowiem sporną kwestyę krainy Lau-lan, która leżała niegdyś na północnem wybrzeżu dawnego jeziora Lob-Nor i dopomagają do rozwiązania wielu nierozstrzygniętych zagadnień, dotyczących okolic, leżących na połowie drogi pomiędzy Chinami i Europą. Wnosząc z tych papierów, była niegdyś poczta pomiędzy Lob-Nor i Saczau, a przeto musiała być i prawidłowa komunikacja przez pustynię Gobi.

(C. d. n.)

DWÓR HABSBURGÓW.

Małżeństwa i katastrofy.

Najnowszem małżeństwem na dworze Habsburgów jest związek, zawarty w kwietniu r. b. między arcyksiężniczką Elżbietą-Ameliją, córką zmarłedo arc. Karola-Ludwika i trzeciej jego żony Maryi-Teresy, z ks. Ludwikiem Lichtensteinem, synem siostry panującego ks. Jana Lichtensteina, Henryki, i ks. Alfreda Lichtensteina, urodzonego z Potockiej z Łańcuta, siostry prezesa ministrów i namiestnika Galicji, Alfreda Potockiego. Ogół bardzo sympatycznie powitał ten związek, któremu nic nie stało na przeszkodzie, skoro ród Lichtensteinów do dziś jest panującym, choć na nader małem księstwie.

Dodać wreszcie trzeba, że arcyksiążę Fryderyk ożeniony jast z księżniczką Izabelą Croij, a że jego starsza córka wyszła za księcia Salm, że więc te dwa małżeństwa w rodzinie Habsburgów nie są związkiem z monarszemi domami.

Srogie były ciosy, które, uderzyły w dom panujący; katastrofy niezwykłe, niebywałe. Najokrutniejszą była strata jedynego w prostej linji następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa, nadzwyczaj uzdolnionego i wykształconego.

Ten zgon Habsburga i dziedzica przesławnej monarchji, tak sprzeczny z całą przeszłością rodu, wielką był dla jej członków boleścią, nie wolną od goryczy. Arcyksiążę Albrecht w dniu pogrzebu podawał ramię królowej belgijskiej; gdy się zbliżali do bramy kościoła kapucynów, w którym znajdują się groby rodziny cesarskiej, zatrzymał się chwilę, a zwracając się do królowej, zawołał: „Czyż Marya-Teresa nie wstanie, aby mu zabronić wejścia!“

Zgon cesarzowej Elżbiety, zamordowanej przez anarchistę w Genewie 10 września 1898 r., otoczył aureolą męczeństwa poetyczną postać tej pani. Niezwykłą ona była i niezwykłym był jej koniec. Niewinna ofiara szału naszych czasów — nowy cios, który spadł na dom Habsburgów; dopełniee niezasłużonego, srogiego nawiedzenia. Urocza była monarchini. Najczęściej nie obecna w państwie, na którego tronie zasiadła, ukazywała się w wielkich, ważnych okolicznościach rodzinnych i publicznych i niosła swojem sercem i czarem pomoc. W ostatnich latach, po stracie syna, żyła w stanie pośrednim między fantazyą a niepoczytalnością, obdarzona niespożytym wdziękiem, czuła na wszystko co piękne, wzniosłe, szlachetne. Miała do końca zalotność w wielkim stylu, wznoszącą się ponad wszelką potwarz, jednak wielce kobiecą i mówiła w ostatnich czasach, „że kto nie widział się zkimś przez dwadzieścia lat, lepiej, ażeby się już nigdy nie widział“. Ta jej zalotność była ongi wielce skuteczną dla pojednania narodu węgierskiego z dynastją. Panie węgierskie wystawiły jej wspaniały grobowiec w podziemiach kościoła kapucynów w Wiedniu. W Austrji i na Węgrzech powstają na jej cześć pomniki.

Do tragicznych ciosów dołączyły się na dworze Habsburgów pospolite zgorszenia, dotąd obce mu niemal zupełnie. Siostra arcyksiężnej Stefanji, Ludwika belgijska, żona ks. Filipa Sasko-Koburskiego i Gotha, matka dwojga dzieci, licząca czterdzieści pięć lat, jawnym stosunkiem z oficerem Mattasicz Kieglewiczem, nabrała smutnego rozgłosu, zatruła życie rodzinne i niemało narobiła kłopotów dworowi wiedeńskiemu. Sentymentalno-zmysłowa, wciąż stała nad brzegiem przepaści, w którą wpadła i z której wydobyto ją, aby zamknąć w domu zdrowia pod Dreznem; podczas gdy Mattasicz skazany został na kilkoletnie więzienie, co spowodowało p. Daszyńskiego do wniesienia skandalicznej, bezwzględnej swoją treścia interpelacji w Radzie państwa. W niedługim potem czasie Mattasicz wypuszczony został na wolność, z czego skorzystał natychmiast, aby niespodziewanie odwiedzić księżnę Ludwikę w zakładzie zdrowotnym.

Ostatniem, podwójnie obrzydliwem zgorszeniem była zbyt znana, podwójna ucieczka arc. Leopolda-Ferdynanda toskańskiego z Adamowiczówną i księżny Ludwiki toskańskiej, żony następcy tronu

saskiego, z Gironem, oraz wszystkie wstrętne jej następstwa. Wszystko to stało się—jak twierdzą — wskutek bardzo złego, niewłaściwego wychowania i pomimo, że dwór toskański prowadzi w Salcburgu niemal klasztorne życie.

Słusznie zatem powiedziałem poprzednio, że stanowisko naczelnika rodu, mającego nad nim dyskrecjonalną władzę, wielu zmartwień, trosk, przykrości i boleści stało się obecnie powodem dla sędziwego, szlachetnego i przykładnego monarchy Franciszka-Józefa I.

Zakończenie.

Etykieta hiszpańska, odziedziczona po wiekopomnej przeszłości, obowiązuje jeszcze na dworze Habsburgów, w zmienionych zupełnie okolicznościach i wnowożytnych życia warunkach. Dodaje czasem blasku, zwykle krępuje. Jednem z jej wymagań jest. iż wszystko niemal na dworze odbywa się stojąco. Nawet poufne rozmowy monarchy z doradcami nie inaczej jak stojąco toczą się, co zapewne niezbyt korzystnem jest dla dokładnego zbadania spraw omawianych. Cesarz stoi zwykle przy biurku, naprzeciw zaś ten, z którym rozmawia, nieraz dość długo. Są wyjątki, i tak cesarz zawsze wskazywał miejsce około siebie na kanapie Alfredowi Potockiemu, którego stanie nużyło zbytecznie.

Są coroczne uroczystości, w których dwór Habsburgów z dawną występuje świetnością i rozwija tradycyonalny przepych.

W pierwszym rzędzie odznacza się sumptem niezwykłym i malowniczością procesja Bożego Ciała, na której czele postępuje cesarz, otoczony rodziną, dworem, dygnitarzami, tajnymi radcami i wojskowością, od kościoła św. Szczepana do Burgu. Ludność Wiednia i przybyli z krajów koronnych poddani przypatrują się tu z umyślnie wystawionych podwyższeń, to z placów i ulic temu wspaniałemu pochodowi, podczas którego w uroczystości religijnej lud styka się i zespala z monarchą i dynastją. Bogactwo strojów, niezliczone pióropusze, przepych jadących z tyłu karet dworskich majestat orszaku, wywołują podniosłe i estetyczne wrażenie. Jest to jedna z tych chwil, podczas których warto, aby cudziemiec znalazł w Wiedniu, które dają mu poznać dawny blask dworu Habsburgów i dawną ich potęgę.

Duchowo podniosłemi, dekoracyjnie pięknemi są uroczystości wielkotygodniowe w Burgu; zwłaszcza w wielki czwartek mycie nóg żebraków, dokonywane przez cesarza i uczta dla nich, zastawiona w jednej z komnat zamku.

Wspaniałą jest także coroczna kapituła Złotego Runa, której przewodniczy cèsarz, a na którejj mianuje nowych kawalerów tego wyjątkowego orderu, którego nadanie wznosi się ponad względy polityczne.

W Peszcie brak tych uroczystości, na które Węgrzy przybywać muszą z Wiednia, budzi zazdrość.

Kiedy członek rodziny cesarskiej umrze za murami Wiednia, sprowadzają jego zwłoki do stolicy w nocy, aby je złożyć na wieczny spoczynek u kapucynów. Lud, rostawiony po ulicach, czeka wśród ciemości na pochód, który przy pochodniach sprawia przejmujące wrażenie. Cały świetny przepych dworski, okryty żałobą, wywołuje poważne myśli i smętne uczucia. Są to chwile, w których ludy zespalają się z dynastją we wspólnym smutku.

Zastanawiając się nad dziejami, widzimy, że w nich nie tyle występuje państwo austrjackie, jak raczej — dom austrjacki. On w nich góruje nad zmiennemi losami, on uosabia syntezę polityczną w nim nie w państwie, była moc niespożyta i w nim jest przyszłość.

Czuły to zawsze ludy monarchji Habsburgów i stąd wyrobiło się uczucie dynastyczne silniejsze, niż gdzieindziej. Przyświecała im gwiazda domu Habsburgów i wierzyły w nią. Dynastja była dla nich „sacro sanctum". Wiele zostało jeszcze z dynastycznego uczucia w monarchji Habsburgów. Dołączyć do niego trzeba przywiązanie i cześć, które budzi w ludach osoba panującego cesarza. Rzadko się natrafia w historji monarchę, któryby był w tym stopniu miłowany przez swoje ludy, jak Franciszek Józef I. Widzą one w tym sędziwym władcy rękojmię zewnętrznego bezpieczeństwa i rozjemcę w sprawach wewnętrznych. Korzą się przed nieszczęściami dotkniętym, zacnym człowiekiem.

Rozstrój w państwie, wyuzdanie dziennikarstwa, zuchwalstwa parlamentarne, które nic i nikogo, nawet rodziny panującej nie oszczędzają, przyczyniają się znacznie, wedle słów kardynała de Retz, „à lever le voile qui doit toujours couvrir tout ce que l'on peut dire, tont ce que l'on peut croire, du droit des peuples et de celui des rois, qui ne s'accordet jamais si bein que dans le silence.

Ustalać uczuć dynastycznych nie potrzebuje cesarz Franciszek-Józef, pozostaną mu wiernemi. To zdanie przypadnie jego następcy — i tu wierzyć trzeba w gwiazdę domu austrjackiego. Jeżeli zważymy klęski państwowe i nieszczęścia rodzinne, które dotkęły za obcego panowania dwór Habsburgów; jeżeli uprzytomnimy sobie dawne jego powodzenia i pomyślności — to przyznamy, że cesarz Franciszek Józef, patrząc na dworu tego odwieczną siedzibę (dziś odnowioną monumentalnie według pomysłu Fischera von Erlach, od placu św. Michała z dwóch stron rozszerzoną w stylu Niniwy i Babilonu), powiedzieć może z Tacytem: „Magnaque illic imago tristium laetorumque.

NOWA SEKTA.

W duszy amerykanina północnego łączą się dwa pierwiastki, napozór zgoła sprzeczne: pozytywna, praktyczna trzeźwość umysłu i wyraźny popęd mistycyzmu. Sprzeczność tę można wytłómaczyć jedynie tą przedziwną mieszaniną ras, która z emigracyi najróżniejszych narodów wytworzyła współczesnego obywatela Stanów Zjednoczonych.

Nigdzie fałszywi apostołowie i prorocy, nigdzie fantastyczni wizjonerzy nie znajdują adeptów równie żarliwych i tłumów równie łatwowiernych, jak w ojczyźnie trustów. Joe Smith budzi się pewnego ranka z przekonaniem, iż niebo powierzyło mu na złotych tablicach dopełnienie biblji, i z bezładnego bigosu, na który składają się oderwane pojęcia chrześcijańskie, żydowskie i wprost pogańskie, a któremu charakterystyczny smak nadaje zasada poligamji, tworzy sektę mormonów, dziś liczącą 130 tysięcy wiernych. Był że on wyjątkiem? Licznych i pełnych zapału zwolenników zyskuje sobie Schlatter, wędrowny uzdrawiacz i żebrak; Schweinfurth, twórca raju neo-muzułmańskiego z aniołami-kobietami; p. Bławacka, która w swych warjackich doktrynach kojarzyła ezoteryczny budyzm z symbolicznym okultyzmem; słynna pani Eddy, frymarcząca do dziś dnia swą rzekomo cudowną książką — i wielu innych pomniejszego rozgłosu...



Z polskiej wystawy fotograficznej we Lwowie 1903. — Joachim Traczyk: „JESIENIĄ“. (Fotografia odznaczona dyplomem honorowym).

Najnowszą sektą, która powstała na tej płodnej glebie, jest dowieizm. Zajmujące szczegóły podaje o niej p. de Norvins w jednym z ostatnich zeszytów paryskiej „Revue“. W zasadniczym swym pomyśle sekta ta jest bardzo oryginalną i „amerykańską“. Twórca jej, John Aleksander Dowie, ma w sobie zarazem coś z Pierponta Morgana i Barnuma. W jednej osobie prorok i finansista. Sekta, która jest równocześnie przedsiębiorstwem handlowo-przemysłowem! Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

Dowie jest z urodzenia szkotem. W trzynastym roku życia przeniósł się wraz z rodzicami do Australji. Z początku był urzędnikiem w domu handlowym. Lecz niebawem uczuł w sobie powołanie, wrócił do Europy i w Edynburgu poświęcił się teologji. W 1872 roku mianowany został pastorem kościoła kongregacyjnego w Sydney.

W krótkim czasie zjednał sobie popularność. Jest znakomitym mówcą. — Imponuje tłumowi wymową i powagą. — Jego argumentacja jest subtelna, brzmienie głosu dźwięczne i silne, jego wzruszenie udziela się słuchaczom. Gdy w oku Dowiego błyśnie łza, audytorjum szlocha. Gdy Dowie uśmiechnie się, w sali panuje wesele. Umie grać na

nerwach słuchaczów ze zręcznością wirtuoza. Dowie jest przytem nie tylko człowiekiem wykształconym, lecz także głębokim obserwatorem, bystrym znawcą serca ludzkiego.

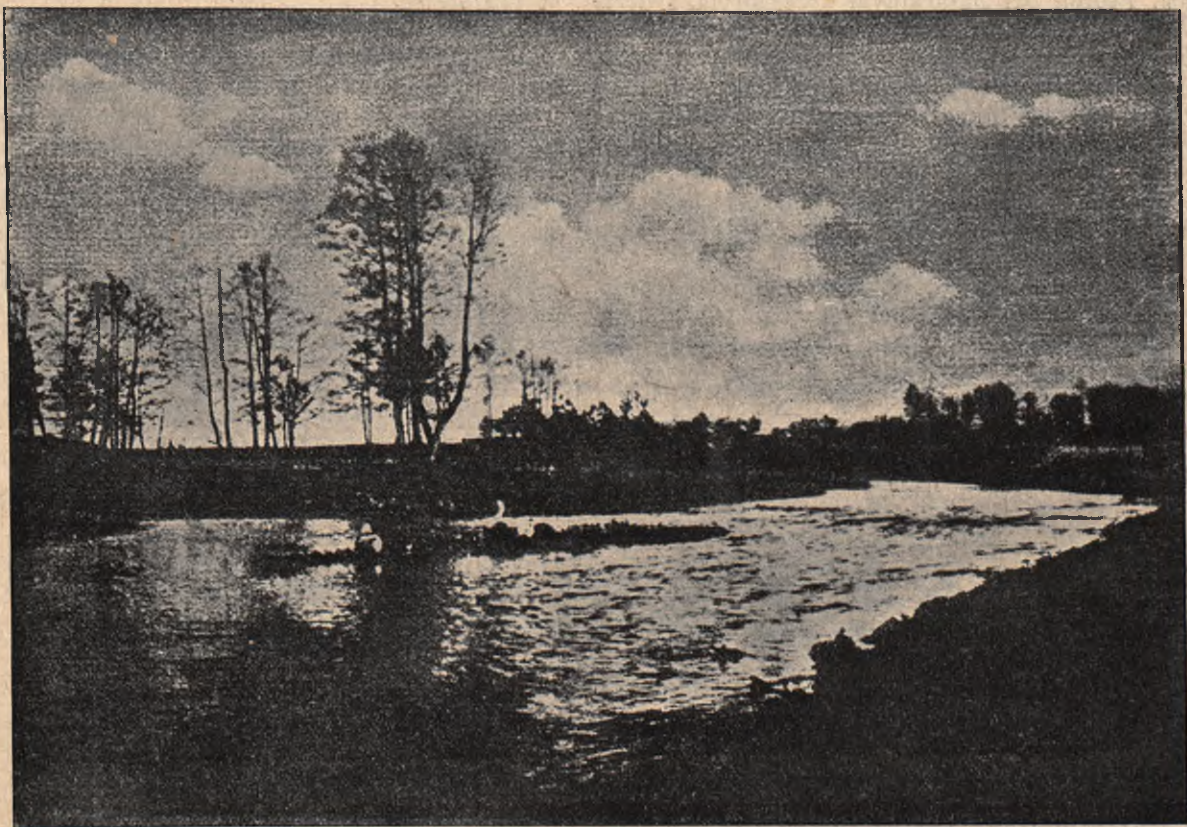
Już w Australji Dowie buduje podwaliny przyszłej sekty. Jej doktryna teologiczna opiera się na prezbiterjanizmie szkockim Knoxa i na zasadach kościoła kalwińskiego. Różni się od nich przez dogmat o bezpośrednim mieszaniu się tak Opatrzności, jak szatana do wszystkich spraw ludzkich — duchowych i najbardziej prozaicznych.

Opatrzność powierzyła Dowiemu — i to jest „credo“ dowieizmu — opiekę nad duszami wiernych, ale i nad ich życiem materjalnem, nad ich majątkiem i nad sposobami używania tego majątku. Opiekun ma władzę autokratyczną — i jak autokrata otacza się przepychem i bogactwem. Pod jednym tylko względem Dowie nie jest w swych wywodach jednolitym: czuje się dumnym ze swego pochodzenia szkockiego, a równocześnie mieni się Eljaszem Odnowicielem, którego zjawienie się było przepowiedziane przez proroka Malachjasza, i później przez ewangielistów: Mateusza, Marka i Łukasza...

Atoli żeby wzbudzić wiarę w tłumach, że się jest specjalnym wysłańcem Opatrzności, wymowa i poważna postać nie wystarczają. Trzeba znaków widomych. Temi znakami są cuda. Dowie to zrozumiał, i zapoznawszy się dość dokładnie z medycyną, posiadł wszystkie tajniki hypnotyzmu, telepatji i suggestji. I jął głosić, że wszyscy lekarze są szarlatanami, że jego modlitwa wraz z przyłożeniem rąk uzdrawia niechybnie tych, co doń ze szczerą wiarą i ufnością przychodzą...

Nauki te jednak w Australji małem cieszyły się powodzeniem, Dowie zdecydował się szukać szczęścia w Ameryce. Jako pole działania obrał sobie Chicago, to olbrzymie gniazdo poliglotyczne, wyrosłe niby z pod ziemi, miasto dziwne, w którem zbiega się 35 linij dróg żelaznych, w którem obok niezliczonych teatrów istnieje 350 szkół i 575 kościołów i świątyń wszelkich możliwych i niemożliwych wyznań, gdzie domy mają po dwadzieścia pięter — Porcopolis słynie na cały świat ze swych bydłobójni — miasto, gdzie wynalazcy nowych sposobów konserwowania mięsa i mistyczni prorocy, apostołowie nowych sekt, równie dobre robią interesy...

Początki nie były łatwe. Zwrócić na się uwagę w takiem ogromnem środowisku jest trudnem zadaniem. Lecz Dowie w umiejętności stosowania reklamy okazał zdolności Barnuma. Umiał



Z polskiej wystawy fotograficznej we Lwowie 1903. — Karol Piskorz: „LATO NAD BYSTRZYCĄ“.
(Fotografia odznaczona dyplomem honorowym).

zainteresować swą osobą prasę. Hałaśliwe zatargi z władzami duchownemi, administracyjnemi i ze światem lekarskim, uczyniły jego imię głośnem. Aż pewnego dnia, ku powszechnemu zdumieniu, ogłosił publicznie, iż on Dowie, jest ostatniem i ostatecznem wcieleniem proroka Eljasza. Objawienie to było manną dla łaknących materjału fejletonistów i karykaturzystów. Dowie znosił spokojnie ten grad pocisków. Nie omylił się w swej rachubie. W tym samym czasie jął się grupować wokół niego zwarty zastęp łatwowiernych, których on nazywa „wiernymi".

Właściwa organizacja dowieizmu, lub jak inni nazywają, sjonizmu, nastąpiła w 1894 r. Dowie założył Towarzystwo, opierające się w równej mierze na wspólności interesów duchowych i materjalnych. Prorok był naturalnym dyrektorem, zwierzchnikiem moralnym i doczesnym, przedsiębiorcą i głównym uczestnikiem w zyskach — kierownikiem tego niebywałego stowarzyszenia, w którego programie figuruje kupno i sprzedaż towarów, przemysł i zbyt fabrykatów, lecznictwo, reformy społeczne, doktryny religijne i komedjanctwo. Najpierwszym, zasadniczym obowiązkiem wiernych jest opłacanie dziesięcin. Pod tym względem Dowie jest nieubłaganym.

Ofiary posypały się. W ciągu kilku lat Towarzystwo stało się właścicielem hotelów, fabryk i domów handlowych, a wreszcie przez umiejętną spekulację proroka — rozległych obszarów ziemnad brzegiem jeziora Michigan, gdzie założono nowe miasto — Syon. Majątek Towarzystwa wynosi dzisiaj 35 miljonów dolarów, liczba „wiernych" 60 tys. Bohater trustów, Pierpont Morgan, nie zdobył się wszakże na tak genjalny pomysł, jak Dowie: cały ten majątek zapisany jest na jego imię — on, jako autokrata, jest prawnie jedynym jego właścicielem...

W czem leży tajemnica tego powodzenia dowieizmu? Prawdopodobnie w fakcie, iż większość adherentów zawdzięcza Dowiemu zdrowie fizyczne i moralne. Swą niezaprzeczoną siłą suggestji i przewagą duchową wciągnął włóczęgów i próżniaków do pracy, uregulował ich życie, zapewnił im pewien dobrobyt. Jego silna wola zwyciężyła ich słabość. Umiał zrzeszyć ich i natchnąć ufnością w przyszłość.

Dowie liczy dzisiaj 56 lat. Żyje, jak przystało władcy autokratycznemu. Posiada wspaniały pałac, konie czystej krwi, podróżuje pociągami specjalnemi. Żona jego stroi się jak królowa. Jednym z jego ostatnich wynalazków, znowu godnym Barnuma, jest maszyna zegarowa, która rejestruje wszystkie supliki o wstawieniu się do Opatrzności za tym lub owym chorym. Zamiejscowym „wiernym" przesyła swe kazania za pomocą fonografu. Modły za chorych zamiejscowych odprawia przez telefon, tak ażeby pacjent mógł słyszeć słowa proroka. Czy może być apostoł bardziej „nouveau jeu?..."

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Otwieraj drzwi! — szepnął Racksole, gdy stanęli przed wymienionym wyżej numerem.

— Muszę zastukać.

— Nie uczynisz tego właśnie. Otwieraj! Masz przy sobie klucz wspólny.

Pod grozą rewolweru Julian posłuchał rozkazu; wzruszał jednocześnie ramionami, jakby chciał protestować przeciw takiemu przełamaniu przepisów hotelowego życia. Racksole wszedł do rzęsiście oświeconego pokoju.

— Gość, który domaga się koniecznie widzenia z panem — rzekł Julian i oddalił się bezzwłocznie.

Pan Reginald Dimmock, przybrany jeszcze w strój wieczorny, z papierosem w ustach, zerwał, się od stołu.

— Niespodziewana to dla mnie przyjemność, panie Racksole...

— Gdzie moja córka? To jej pokój.

— Nie rozumiem słów pana.

— Ośmieliłem się zrobić uwagę, że to pokój panny Racksole.

— Jesteś chyba nieprzytomny, kochany panie, jeśli mogło ci się przyśnić coś podobnego. Szacunek jaki mam dla pańskiej córki, wstrzymuje mnie jedynie od dania panu należnej odprawy.

Twarz Racksola pokryła się bladością.

— Za pozwoleniem pana — rzekł spokojnie, chociaż stłumionym głosem — muszę zajrzeć do ubieralni i łazienki.

— Posłuchaj mnie pan, proszę — nalegał Dimmock łagodniejszym tonem.

— Słuchać cię będę później, mój przyjacielu — odparł Racksole, zaczynając czynić bezowocne poszukiwania, poczem dodał: — Nie chcę, abyś fałszywie tłómaczył pobudki postępowania mego,

panie Dimmock; objaśnić cię muszę, że pokładam najzupełniej zaufanie w charakterze mojej córki, która czci swojej strzedz potrafi zarówno jak każda uczciwa kobieta. Jakim sposobem pan tu się dostałeś, jest jedną z tajemnic naszego hotelu. Cóż to znowu?... — zawołał, odczuwając przeciąg powietrza. — Widzę, że okno stłuczone od zewnętrznej strony. Jak się to stać mogła?...

— Gdybyś pan chciał posłuchać cierpliwie — tłómaczył Dimmock, zachowując dyplomatyczne formy uprzejmości — wyjaśniłbym zaraz rzecz całą. Poczytywałem za obrazę pierwsze stawione przez pana pytanie; teraz widzę, żeś pan usprawiedliwiony po części — mówił z łagodnym uśmiechem. — Przechodziłem przez korytarz około jedynastej wieczorem i zastałem pannę Racksole w zatargu ze służbą hotelową. Córka pana chciała udać się na spoczynek, gdy rzucono duży kamień w okno i stłuczono szybę, jak pan widzi. Zrażona podobnym faktem, panna Racksole nie chciała tu pozostać dłużej, dowodząc, że kto ośmielił się rzucić jeden kamień, może chcieć rzucić i drugi, wskutek czego zażądała zmiany pokoju. Służba dowodziła, że niema w hotelu wolnego numeru z ubieralnią i łazienkę, przy czem obstawała córka pana, a wtedy ofiarowałem zamianę mieszkań naszych; panna Racksole przyjęła łaskawie moją propozycyę, i teraz niewątpliwie zasypia spokojnie pod numerem 124.

Racksole patrzał na młodego człowieka w milczeniu. Naraz zastukano do drzwi.

— Proszę wejść! — wołał milioner głośno.

Dziewczyna jakaś stanęła na progu; była to służąca Nelly.

— Panna Racksole kazała się kłaniać; przysyła mnie po książkę, którą zostawiła na kominku w tym pokoju. Nie mogąc spać, radaby poczytać trochę.

— Przepraszam pana, panie Dimmock, najmocniej przepraszam — rzekł Racksole po odejściu służącej. — Życzę dobrej nocy.

— Nie mówmy o tem więcej — odparł Dimmock grzecznie i ukłonem pożegnał gościa.

IV.

Ukazanie się księcia.

Małoznaczące okoliczności niepokoiły umysł Racksola; pierwszą były znaki, dawane przez Juliana, drugą wstążka na klamce i nocne odwiedziny kelnera w numerze 111, wreszcie szyba stłuczona od zewnętrznej strony. Milioner pamiętał, że większa część tych wydarzeń zaszła o godzinie trzeciej nad ranem. Spał mało tej nocy, niemniej rad był z nabycia hotelu Babilon. Kupno to zapowiadało dużo niezwykłych wrażeń i zawikłanych intryg.

Nazajutrz wczesnym rankiem podążył do pana Babilon.

Usunąłem już moje prywatne papiery — rzekł dawny właściciel zakładu. — Pokoje oddaję do pańskiego rozporządzenia. Mam zamiar, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, gościć tu czas jakiś jeszcze. Pozostaje dużo do załatwienia interesów przed ostatecznem uregulowaniem kupna, przytem możesz pan potrzebować w dużo razach wskazówek moich. Prawdę mowiąc, nie radbym z takim pośpiechem opuszczać miejsca, w którem przebywałem lat szereg. Będę tęsknił za hotelem.

— Bardzo mi przyjemnie, że pan tu dłużej zabawić zechcesz jako gość, nie zaś gość hotelowy.

— Wdzięczny jestem za pańską uprzejmość.

— Co do żądania od pana wskazówek, przypuszczam, iż nie będę ich potrzebował; z własnego biegu rzeczy, idzie tu wszystko dawnym trybem.

— Ah! — zawołał Babilon z powagą — słyszałem o hotelach, zostawionych takiemu własnemu biegowi; bądź pan przekonany, że w podobnych razach ulegając prawom ciężkości, staczają się one na dół i dążą do upadku. Będziesz pan miał zajęcia co niemiara. Czy słyszałeś już o pannie Spencer?

— Nie — odparł Racksole. — Cóż się z nią stało?

— Zniknęła tajemnie podczas nocy i nikt nie może wyjaśnić pobudek takiego postępowania. Pokój jej pusty; kufry zabrane. Musisz mieć kogoś na jej miejsce, a znalezienie zastępcy nie będzie łatwe.

— Hm! mruknął Racksole po chwilowej przerwie — nie ona jedna ustąpi dzisiaj z zajmowanej posady.

W parę godzin później milioner, przeniósłszy się do zajmowanych poprzednio przez Babilona pokojów, nacisnął drzwonek.

— Zawołać Juliana! — rzekł do ukazującego się we drzwiach chłopca.

Czekając na kelnera, Racksole rozważał przyczyny nagłego zniknięcia panny Spencer.

— Dzień dobry, Julianie — powitał grzecznie wchodzącego.

— Dzień dobry panu.

— Siadaj, proszę.

— Dziękuję panu

— Spotkaliśmy się dziś rano.

— Tak jest; o trzeciej po północy.

— Dziwne bardzo to nagłe, tajemnicze wydalenie się panny Spencer; wszak prawda? — pytał Racksole.

— Fakt niezwykły przyznaję.

— Musisz wiedzieć niewątpliwie, że pan Babilon przelał na mnie prawa własności do tego hotelu?

— Rzeczywiście, panie, jestem już o tem powiadomiony.

— Przepuszczam, że wiesz równie o wszystkiem, co się dzieje w hotelu?

— Jako starszy kelner mam obowiązek zwracać na wszystko uwagę.

— Będąc cudzoziemcem, Julianie, mówisz poprawnie po angielsku.

— Ja cudzoziemiec? Nie panie; jestem Anglikiem, urodzonym i wychowanym w Hertfordshire. Imię moje zapewne w błąd pana wprowadziło.

Przezwano mnie Julianem, gdyż starszy kelner w pierwszorzędnym hotelu musi mieć imię francuskie lub włoskie.

— Widzę — zauważył Racksole — że jesteś zręcznym bardzo człowiekiem.

— Nie mnie chwalić się wypada.

— Jak długo hotel Babilon korzystał z usług twoich?

— Około lat dwudziestu.

— Długi to przeciąg czasu spędzony na jednem miejscu. Nie uważasz, że pora zmienić warunki życia? Jesteś młodym mógłbyś użytkować swoje zdolności i wyrobić sobie sławę, pozyskawszy obszerniejsze pole działania — dowodził Racksole, rzucając na kelnera przenikliwe wejrzenie i takież otrzymując w zamian.

— Pan nie zadowolony ze mnie? pytał Julian.

— Mówiąc szczerze, myślę że za dużo mrugasz oczyma, dając drugim tajemnicze znaki; sądzę przytem, że jest rzeczą nie pożądaną, aby starszy kelner przystrajał w białe wstążki o godzinie trzeciej rano klamki sypialnych pokojów.

Julian drgnął mimowoli.

— Widzę, o co panu chodzi — rzekł. — Chcesz się mnie pozbyć i szukasz do tego pretestu. Bardzo dobrze; powiedzieć mogę, że mnie to wcale nie dziwi. Zachodzi niekiedy niezgodność usposobień między starszym kelnerem a właścicielem hotelu, wówczas jeden ustąpić musi, inaczej cierpiałby na tem bieg rzeczy w zakładzie. Odejdę więc, panie Racksole. Myślałem nawet o wymówieniu służby na piśmie.

Milioner uśmiechnął się znacząco.

— Jakiego wynagrodzenia żądasz za pominięcie formalnego wymówienia służby? Życzę sobie, iżbyś w ciągu godziny opuścił mój hotel.

— Żadnego wynagrodzenia nie przyjmę, a hotel pański opuszczę w ciągu minut piętnastu.

— Żegnam cię tedy, życzę powodzenia i będę podziwiał zdolności twoje, jeśli przebywać zechcesz zdala od mego hotelu.

— To rzekłszy, Racksole podniósł się z krzsła.

— Żegnam pana i dziękuję.

— Przy tej sposobności muszę cię przestrzedz, iżbyś nie szukał posady w którym z pierwszorzędnych hotelów europejskich; uprzedzę ich zarządy; starania twoje pozostałyby bezskuteczne.

— Pominąwszy, że nawet w samym Londynie jakie pół tuzina hoteli ubiegałoby się o możność pozyskania mnie do usług — odparł kelner — oświadczam panu, że chcę porzucić mój zawód..

— Rzeczywiście chcesz w innym kierunku zużytkować swoją umiejętność?

— Bynajmniej. Mam zamiar wynająć mieszkanie na której z dalszych ulic i użytkować zasłużonego spoczynku. Zaoszczędziłem małą sumkę, około dwudziest tysięcy funtów, dostateczną na zaspokojenie skromnych potrzeb moich. Przepraszam, że pana nudzę szczegółami osobistego położenia. Żegnam raz jeszcze.

Po południu Racksole udał się z Babilonem do jednego z pierwszych prawników z City, a następnie w banku dopełnili warunków tranzakcji.

— Postanowiłem osiąść stale w Anglii — mówił w powrotnej drodze milioner, — To jedyny kraj...

— Pod jakim względem jedyny? — pytał Babilon.

— W którym można bezpiecznie zrobić majątek i wydawać pieniędze. W stanach Zjednoczonych niema co kupować; we Francji i Włoszech kapitalistom grozi niebezpieczeństwo.

— Wszak pan jesteś z rodu Amerykaninem?

— Tak, jestem Amerykaninem — odpowiedział Racksole — ale mój ojciec, stolarz z Oxfordu, który następnie zarobił dziesięć milionów dolarów na żelazie w Pittsburgu, był tak rozsądny, że wysłał mnie na naukę do Anglii. Jako syn człowieka średniej klasy, przeszedłem trzyletnie kursa w Oxfordzie; więcej mi one przyniosły korzyści, niżeli wiele późniejszych szczęśliwie przeprowadzonych spekulacyj. Dowiedziałem się, że język angielski bogatszy i doskonalszy od języka amerykańskiego, że w życiu Anglika jest coś, czego nie można określić, a czego nie nabędzie nigdy Amerykanim. W stanach Zjednoczonych przekupujemy sędziów i prasę, o wieku XVIII-ym mówimy, jakby o początku świata. Tak, stanowczo; kapitały moje ściągnę do Londynu. Zbuduję w Park-Lane wspaniałą kamienicę, kupię starodawną posiadłość ziemską, znaną z podań kronikarskich i osiedlę się w Anglii spokojnie. Nie znasz mnie pan jeszcze; jak na milionera jestem dobrodusznym, towarzyskiego usposobienia człowiekiem, a jednak, pomyśl tylko! w całym New-Yorku nie naliczyłbym nawet sześciu prawdziwych przyjaciół.

— Ja również — mówił Babilon — nie mam wielu życzliwych, za wyjątkiem towarzyszy z czasów dzieciństwa mego w Lozannie. Spędziłem trzydzieści lat w Londynie, a nie zyskałem nic więcej, nad dokładną znajomość angielskiego języka i pewną ilość złota, mogącą dużą szkatułę wypełnić po brzegi.

Dwaj plutokraci westchnęli smutnie.

— Mówiąc o złocie — odezwał się Racksole — ile pan myślisz Julian zebrał pieniędzy podczas służby swojej u ciebie?

— Oh! — odparł, śmiejąc się Babilon — nie potrafię tego odgadnąć; miał dużo dobrych sposobności.

Czy w tych warunkach uważałbyś pan sumę dwudziestu tysięcy funtów szterlingów za wygórowaną?

— Niewątpliwie; zwierzał się z tem panu?

— Poczęści; odprawiłem go bezzwłocznie.

— Jakto? jego odprawiłeś?

— Cóż to pana tak dziwi?

— Bo ja od dziesięciu lat miałem ochotę rozstać się z nim, a zawsze zabrakło mi odwagi na wypowiedzenie mu miejsca.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. Druk W. Korneckiego w Krakowie.